

V-10460/1

P

I

Ó

R

O

Starostwo Chelmskie
Księgarnia obowiązkowa

MIESIĘCZNIK

Młodzieży Państw. Sem. Naucz. Męsk. w Chełmie.

MAJ 1925.

Nr 2.

PIÓRO

MIESIĘCZNIK MŁODZIEŻY PAŃSTW. SEMINARJUM
NAUCZYCIELSKIEGO MĘSKIEGO W CHEŁMIE.

Redakcja i administracja: Państw. Semin. Naucz. Męskie w Chełmie Lub.

Nasz sztandar

Nad głowami nasz sztandar łopocze
I radosną ogłasza nam wieść,
Hasło w serca nam rzuca ochocze;
Mamy światło i pracę w lud nieś!

Niczem wszelkie nam w drodze przeszkody,
Niczem wszelka ciemnoty nam straż,
Gdy w te święte prowadzi zawody
Miłość ludu i sztandar ten nasz.

Choć nas czeka trud wielki w przyszłości,
Choć przed nami roztacza się mrok,
Jednak wiara i siła miłości
Naprzód śmiało podwoi nasz krok.

Tam w tym mroku potęga uśpiona,
Tam Ojczyzna i Ludu jest byt,
My musimy mu podać ramiona
I różany pokazać mu świt.

Tam w tym mroku nas bracia czekają,
Czy słyszycie rozpaczny ich głos,
Jak żeglarze ratunku wołają?
Czy bez zmiany zostanie ich los?

Michał Pawłowski.

Pod sztandarem

„Trzeba naprzód iść i świecić!“ Takie hasło wypisaliśmy na naszym sztandarze szkolnym.

Pewien jestem, że każdy z nas rozumie je, bo też nieraz w życiu szkolnem z niem się spotykał. Ale wielu nie widzi całego ogromu zadań, obowiązków i trudów, ciężących na tych, którzy odważą się „naprzód“ pójść, by „świecić“. Dziś w tej wielkiej dla nas chwili, gdy rozpięty sztandar z łopotem pełnym powagi i świętości odsłania przed nami złote litery, odczytajmy je i zastanówmy się nad istotą i znaczeniem walki, jaką nam przyjdzie stoczyć z wrogiem, panoszącym się w łonie naszego narodu — z ciemnotą! Wstępując do seminarjum najczęściej z konieczności, a nieraz z nieświadomością i dziecinnym jeszcze porywem do książki, nie widzieliśmy tego hasła, które dopiero po latach kilku stało się własnością naszych dusz.

Dziś je widzimy i za niem pójdziemy tam, gdzie trzeba dusze rozsloneczniać, pójdziemy — w lud!

Jeśli dotychczas słabo uprzytomnialiśmy sobie wielkość powołania do pracy na niwie oświaty, to dziś, przysięgając na wierność sztandarowi, musimy dojrzeć, musimy zrozumieć wzniosły cel, jaki przyświeca nauczycielstwu polskiemu. Inteligentny Polak wie, że największem bogactwem kraju nie są skarby mineralne, ale skarby duchowe jego mieszkańców, zalety charakteru i poziom oświaty, która winna szeroką rzeką rozlać się po Polsce. Grecja starożytna zawdzięczała swą potęgę właśnie tężyźnie charakteru obywateli. Świat dzisiejszy, wydostawszy się „z krwawej kąpieli narodów“, rzuca nowe hasło powszechnej oświaty, oświaty tłumów! Spójrzmy na Zachód: Niemcy, Francuzi, Anglicy i genialny naród amerykański w ciągłej i systematycznej pracy czynią wielki wysiłek umysłowy; tu już nie o militarną potęgę chodzi, to wojna o niezajęte jeszcze terytorjum doskonałości. A my? My, Polacy, mamy jeszcze więcej do zrobienia.

Długi czas niewoli wyniszczył wiele sił w narodzie. Lecz dziś, gdy wróciliśmy na trakt, z którego zepchnęła nas historia, musi zrodzić się w naszym narodzie poczucie potrzeby powszechnej oświaty. Po tej drodze zdąża wiele innych narodów,

które drogo okupiły wyzwolenie z paszczy potwora—ciemnoty. Polska nie będzie ostatnia, przeciwnie winna być awangardą w pochodzie narodów, a nie w tradycji tylko „przedmurzem Europy“. I tak jak niegdyś wielkie Niemcy, tak dziś Polskę w słońce chwały prowadzić ma—nauczyciel ludowy.

Jak szczytne przed nami zadanie!.. Więc gotujmy się do wielkiego pochodu z żagwią oświaty, aż, cały kraj przeszedłszy, rozpalimy łunę pożaru dusz, poświęconych Ojczyźnie. Lecz więcej sił i wiary w przyszłość, która do nas, młodzieży należy! Ci, którzy z pośród nas wyszli i piastują już godność latarników ludowych, powiedzą nam, jak trudno jest stanąć na wysokości zadania w zawodzie. Pomni jednak na dolę nauczycieli-męczenników, którzy w stokroć cięższych warunkach pracowali, (a wiemy, że wytrwali) powiedzmy za Marją Konopnicką: „Choćbyśmy więcej cierpieć mieli, płonąć, niż gasnąć, gorejąc, niż stygnąć—to jednak gorejmy i płońmy!“

Dziś, podnosząc sztandar, symbol naszych dążeń i idei, podnosimy myśli na wyżyny prawdziwego udochowienia. Im więcej naród w historii swej posiada chwil wielkich, podniosłych, tem wyższe i podnioslejsze jest jego życie codzienne. Podobnie my, jeśli dziś potrafimy wznieść się na szczyt zrozumienia i prawdy, to w chwili odlotu bliżej będziemy ideału, a miarą normalnego lotu naszych charakterów będzie—wyż.

A. L.



Wrażenia z wycieczki Zagłębie Dąbrowskie

Po zwiedzeniu Krakowa, Wieliczki i Ojcowa wyjeżdżamy z Krakowa do Zagłębia. Po parogodzinnej jeździe jesteśmy w Strzemieszyczach. Pociąg będziński ma wkrótce odejść, więc śpiesznie przebywamy drogę, oddzielającą tor będziński od stacji, na której wysiedliśmy. Jesteśmy już w Zagłębiu. Naokoło sterczą kominy i czernieje węgiel, droga jest zasypana pyłem węglowym, a domy są czarne od sadzy. Przybywamy na stację w porę, gdyż po chwili podchodzi prawie próżny pociąg. Z okien

wagonów wychylają się tylko główki jakichś sztabaczek, więc, upatrzysz takie wagony, wsiadamy i zapoznajemy się. Okazuje się, że są to „koleżanki po fachu” — seminarzystki, jadące do Sosnowca na lekcje. Koleżanki te chętnie informują o Zagłębiu, my zaś opowiadamy im o Chelmie, wycieczce, a także obdarowujemy pamiątkami z Wieliczki. Koleżanki są trochę zakłopotane, żeby nam podarować nawzajem, jako pamiątkę z Zagłębia, ale naokoło nie niema prócz... węgla. Wszędzie czernieje ten drogi cenny minerał. Ciężko sapa pociągi naładowane węglem, węgiel czernieje naokoło kopalni i na stacjach.

Nad kopalniami, wprawiane w ruch jakby jakąś niewidzialną siłą, szybko obracają się koła wind, wydobywają z głębokości węgiel, trafnie ochrzczony czarnym diamentem. Jest to najdroższy skarb naszego kraju, gdyż umożliwia krajowi ruch, życie przemysłowe i uniezależnia nas od zagranicy. Przez tą skarbnicę Polski właśnie przejeżdżamy. Przed oknami wagonów wyrastają prawdziwe lasy kominów. Mijamy Dąbrowę i za chwilę jesteśmy w Będzinie. Mamy stamtąd udać się do odległego o 5 km. Grodzca w celu zwiedzenia kopalni. Na dworcu czeka na nas dwie auto, wysłane przez zarząd kopalni.

Wogóle cały nasz pobyt w Grodźcu dzięki stosunkom pana prof. W. i uprzejmości zarządu kopalni jest bardzo ułatwiony. Pędzimy autem przez ulice Będzina, które swymi rynsztokami przypominają ukochany nasz Chelm.

W aucie panuje wesołość, gdyż mamy miłe towarzystwo w osobie gimnazystek, powracających do Grodźca z lekcyj. Migają na chwilę zielone pola, w twarz uderza czyste polne powietrze, widok wkrótce jednak znów zasłaniają kominy i mury; jesteśmy w Grodźcu. Wsiadamy, zdamy przyszykowany już porządny obiad i udajemy się na zwiedzenie cementowni, z cementowni udajemy się do zawiadowcy kopalni. Ten bardzo uprzejmy człowiek zaraz polecił kilku inżynierom pokazanie nam kopalni.

Podczas naszych wędrówek po kopalni zwiedzamy olbrzymią kotłownię, pięknie urządzonej elektrownię, gdzie ogromny turbogenerator wytwarza prąd o napięciu 2 tys. volt, oglądamy maszyny, wciągające i wysysające powietrze i poruszające windy, właściwą kopalnię jednak mamy zobaczyć dopiero w głębi ziemi.

Dostajemy brezentowe ubranie górnicze z kapiszonami, do rąk dostajemy latarki acetylenowe i, pilnując się wagonetek z węglem, staczających się do sortowni, kierujemy się do windy.

Pakujemy się do tej klatki jak śledzie do beczki, trzaskają drzwi windy, brzmi krótki dzwonek i zjeżdżamy na 300 m. wgłąb.

W pierwszej chwili zjazdu zdaje się, że podłoga usuwa się nam z pod nóg i lecimy szybko wdół, później zaś przeciwnie zdaje się, że podnosimy się do góry, za chwilę jednak zmysły przychodzą do równowagi, winda szybko mknie wdół i wreszcie staje. Znow słychać trzask otwieranych drzwiczek i prąd powietrza uderza w twarz. Rozglądamy się.

Jesteśmy w długim dobrze oświetlonym korytarzu, po którym z hukiem przenoszą się oł czasu do czasu całe pociągi wagonetek, pędzone prądem elektrycznym. W głębi kopalni dziwne wrażenie robią te pociągi, pędzące wśród wilgotnych i pustych korytarzy.

d. n



Poznaj swój kraj!

*Motto: Cudze chwalicie, swego nie znacie
Sami nie wiecie, co posiadacie.*

Zbliżają się wakacje, chwila odpoczynku po całorocznej, mniej lub więcej intensywniej pracy, która wyczerpała siłę i energję. Chcesz jak najprędzej wyrwać się z murów szkolnych, krępujących twoją swobodę, opuścić miasto pełne kurzu i wyziewów, a podążyć do domu rodzicielskiego, gdzie cię przyjmą z otwartymi ramionami.

Tam na wsi będziesz mógł się rozkoszować naturą i używać zasłużonego spoczynku.

Z początku sprawiać ci to będzie przyjemność, ale po miesiącu znudzi ci się to życia (wiem to z doświadczenia) zwłaszcza, jeśli nie będziesz miał innego zajęcia i zaczniesz tęsknić do życia i gwaru szkolnego i do swych kolegów.

Jeśli cię taka tęsknota ogarnie, weź plecak, wyndaj go porządnie niezbędnymi przedmiotami i wyrusz na wycieczkę chociażby tylko po najbliższej okolicy.

Ci, co na tem zęby ziedł, nie da tyle wrażeń piesza. Dostarcza ona tyle różnorodnych wrażeń, że nawet chorego na spleen mogłaby wyleczyć.

...nie przyniesie tyle korzyści, co wycieczka. Dostarcza ona tyle różnorodnych wrażeń, że nawet chorego na spleen mogłaby wyleczyć.

Co ma na celu wycieczka?

Oczywista rzecz: poznanie kraju ojczystego. Mówisz, że kochasz swój kraj; wierzę, ale miłość ta nie może być silna, bo nie znasz przedmiotu miłości. Żeby coś można było silnie kochać, trzeba to wpierw poznać.

A mamy na naszej ziemi wiele miejsc pięknych, godnych zwiedzenia. Dość wspomnieć tylko morze, Tatry, podolskie jary i równiny Wołynia; jeziora Kaszubskie i dolinę Ojcowską, a trzeba przyznać, że jest co zwiedzać.

Niektórzy są przeciwni wycieczkom pieszym. Twierdzą, że różne miejscowości historyczne, czy odznaczające się pięknosciami krajobrazu leżą od siebie nieraz w bardzo wielkiej odległości i szkoda czasu tracić na kilkudniowy marsz po drodze, którą pociągiem można przybyć w ciągu kilku godzin. I jaka korzyść z tego, że zobaczy po drodze „wojtkową stodołę“?

Jaka korzyść? Jest korzyść i to bardzo wielka.

Poznać kraj, to nie znaczy poznać tylko miasta, ruiny zamków i t. d., i t. d. ale poznać także i lud, który go zamieszkuje, poznać jego kulturę duchową i umysłową, poznać zwyczaje i obyczaje. Dla nas, przyszłych nauczycieli, ma to szczególniejsze znaczenie, bo przecież mamy w przyszłości udać się do tego ludu i nieść mu „oświaty kaganiec“.

Pewna amerykańska gazeta nauczycielska zapytuje: „Co musi znać ten, kto Johna chce nauczyć łaciny? Wszyscy oczekują odpowiedzi: „Łaciny“. — „Otóż nie odpowiada ten, który postawił pytanie—musi on znać Johna, to jest warunek pierwszy“ *)

Jaki tego sens? Taki, że zanim zaczniemy kogoś uczyć, musimy najpierw poznać jego psychikę, aby móc na nią skutecznie działać.

Jeśli więc kto uzna za słuszne moje dowodzenia, niech weźmie, powtarzam, wypakowany plecak i wyruszy na wólcę, a może gdzie w swej wędrownie wakacyjnej drogi nasze się spotkają.

Kazimierz Bobryk

*) Z Fr. Foerстера.



Michał Pawłowski

Serce poety

*Serce jego — ptak skrzydlaty,
Co nad szarą wzbił się cieśń,
I tak płynąc wdał w zaświaty,
Nuci szczęścia złotą pieśń.*

*Serce jego wierch skalisty,
Co ku niebu wzniosł swój róg,
W słońcu cały promienisty
Chce się wedrzeć tam, gdzie Bóg!*

Z miesiąca

Wycieczka — Koncert — Wiosna

Nad Świerżami wstawał chmurny, ale ciepły ranek. Zdawało się, że nic nie zmąci powszedniej ciszy i zwykłej monotonii wiejskiego dnia: nie wróżyło, aby miał on czemkolwiek różnić się od całego szeregu innych. Jednakże los chciał inaczej i kazał nam dzisiaj zakłócić... panujący tu spokój. Razem z brzaskiem w ciszę uspięnej wioski wpada jakiś dziwny, niesamowity gwar. Czego bo tam nie słychać! Sentymentalna melodia średniowiecznej serenady miesza się z pełną niefrasobliwego humoru żołnierską piosenką, pieśniom Halki sprzeciwia się Titina, rzeźkie i tryskające zdrową radością tony mazura mają pijane chimmy, w harmonję wesołego śmiechu wpadają jak dysonans, dobywające się z pod stóp płaczącej brzozy bolesne jęki i narzekania na odciski.

Wieśniacy, zdumieni tym niezwykłym hałasem, wyczierają z poza okien i zaspanym ich oczom ukazuje się dziwny jak na Świerże widok.

Ulicą przeciąga gromada młodych chłopców w szaro czerwonych czapkach. Większość z nich dźwiga różnego rodzaju instrumenty,

a reszta bodaj małe pakunki. To zawiniątko z chlebem powszednim, a u niektórych może nawet jeszcze ze świątecznym. Kto to? pytają zdziwione oczy wieśniaków.

Nikt im nie odpowiada, domyślają się później sami, że to seminaryści z Chełma. Im dalej idziemy w wioskę, tem więcej ludzi w oknach. Tu wзира dwoje poważnych staruszków, tam gromada rozczochranych dzieci, a z tamtego małego okienka, z pośród pelargonji śmieją się jasne oczy nadbużańskiej krasawicy. Za uśmiech płacimy uśmiechem, a nawet ktoś, widocznie śmielszy, wyrwa się. Nie powiem, żeby z wersalskim komplementem. Oczy znikają i kryją się w mrocznej głębi izdebki, ale czy gdzieś z ukrycia nie patrzą? Głośno powiem, że nie wiem, ale w głębi duszy mocno jestem przekonany że... Lepiej o tych przekonaniach nie mówić, można narażać się wszystkim córom Ewy, a nie chcę tego. Krasawica zniknęła, a my, wcale nie tracąc z tego powodu humoru, podążamy dalej i wkrótce jesteśmy u celu — szkoły.

Tu składamy swoje pakunki i po krótkim wypoczynku rozsypujemy się po wiosce w poszukiwaniu łódek. Poszukiwania wbrew naszym przypuszczeniom idą opornie. Głowy domów — mężowie gdzieś się porozchodzili, a kobiety nie zapewne nie słyszały jeszcze o równouprawnieniu, bo nie chcą same nic postanowić. Dopiero po wielu trudach zdobywamy kilka łódek. Udajemy się wszyscy nad Bug i lokujemy w czółnach. Za chwilę z nad rzeki biją głosy trwogi.

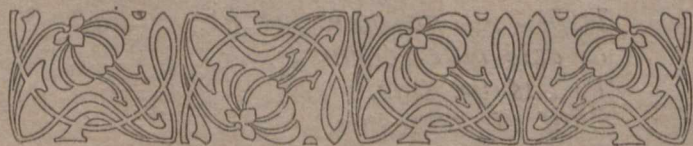
Zdawało się, że pływać tak łatwo! A tymczasem prąd porywa łodzie wroz z żeglarzami i niesie pod most. Rezultat taki, że zaledwie kilku pozostaje na rzece, a reszta niefortunnych żeglarzy rozsypuje się po wiosce i zapija mleko. Dopiero godzina koncertu gromadzi wszystkich w szkole. Artystów dużo, ledwie zdołają pomieścić się na małej scenie. Jest także trochę publiczności w sali, a bardzo dużo na dziedzińcu. Nic dziwnego, że złotówką czy pięćdziesięcioma groszami roztać się tak ciężko, a szyld pobliskiej restauracji z wyobrażeniem kieliszka i świnki z filuternie zakreconym ogonkiem wygląda tak pożątnie! Zaczynamy koncert. Płyną rzewne tony skrzypiec, dzwięczą radośnie mandoliny, czasem tubalnia odezwie się trąba, a innym razem z kilku dziesięciu męskich piersi wyrwa się pieśń i „leci wdał... jak grzmot“.

Koncert skończony. Żegnani hucznymi oklaskami podążamy na stację krętymi ścieżkami, wijącemi się pośród płaskich łąk i pól nadbużańskich.

Tu wiosna roztacza już swój urok w całej pełni. Ziemia, niedawno pogrążona w twardym śnie, budzi się do życia, a owładnięta żądzą

macierzyństwa z rozkoszą poddaje się radosnej pieszczocie zapładniających promieni słońca i rodzi bez opamiętania, bez troski o przyszły los swych płodów. Zielenią się już lasy, tętnią bujnym życiem pola, tysiącem barw świeżego kwiecia śmieją się łąki, z pod każdego kamienia, z każdej szczeliny wytryska radosne życie i śpiewa potężny, dziękczynny hymn za dar istnienia. Śmieje się wiosna, ale radość jej nie wszystkich porywa z sobą, dla wielu jest źródłem cichego, ale wielkiego smutku, bo przypomina, że miniona wiosna, ta bardzo bliska i bardzo kochana, która niedawno z pośród takich pól i lasów odeszła — nie wróci już nigdy. Też była piękna, pełna rad ści i najlepszych nadziei jak ta. Oczarowała ich i porwała z sobą. Ale później przyszła jesień, wiosna rozwiała się jak sen i cóż z niej zostało? trochę zeschniętych liści którymi wiatr teraz pomiatą i dużo wspomnień dla tych, którzy przywiązali się do niej całą duszą. Błądzą teraz smutni, z pochylonemi czołami i wśród świeżyci kwiatów tęsknym wzrokiem wyszukują zwiędłych, dawnych. Te są im tak bliskie! To świadki dobrych chwil, dobrzy, serdeczni przyjaciele, co nie opuszczali ni w szczęsnej, ni w złej doli, dzielili każdą radość, koili smutki. Teraz został po nich zaledwie ślad, a obok wykwita beztroska radość nowego życia. Nad świeżą mogiłą szaleje wasoły młodzieńczy śmiech i boleśnie brzmi w uszach tych, którzy wszystko, co mieli w niej, pogrzebali. Nieraz chcieliby jednym wielkiem, a gorzkim słowem zniszczyć radość, wtłoczyć ją w ziemię, ale nie uczynią tego, niech wiosna niesie uśmiechy innym, oni nie zmacą jej radości, bo nie powiedzą o letnich upałach, kiedy tyle kwiatów wędnie, o zawodzeniach wichru jesiennego, marszu pogrzebowym dla tylu żyć i mętnych kałużach — ich grobie. A żeby nie wyczytała z ich oczu, co już patrzyły na tyle jesieni i nasiąkły ich smutkiem, złego dla siebie losu, przymkną je i usuną się. Zostaną ze swemi wspomnieniami, aż złączą się z niemi, sami zostając wspomnieniem.

M. P.



Anatoljusz Łisowski

DO WIOSNY

Czyliś wzywał cię lub prosił,
Że dziś do mnie pukasz?

Boska Diano,
Roześmiana,

Czemuż ty mnie szukasz?

Pocóż znowu zdążasz ku mnie

W strojnych paziów gronie?

Pocóż w łąki

W kwiecica pąki

Tchnęłaś słodkie wonie?

Czemuż czekasz, bym cię witał,

Czemuż każesz znów mi śnić?

Idźże przecie

I poecie

Rozkaż wieńce wić!

Dziś nie wabi mię twój barwny

I zielony afisz

(Dawne błędy!)

Ty dziś tędy

Do mnie już nie trafisz.

Choć pod niebo z ptasząt gwarem

Pieśń ku tobie leci,

Niechaj nucią

Bałamucą

Uparci poeci!

Twój czar na mnie już nie działa,

Ja dziś milczeć muszę,

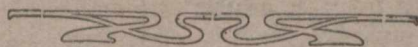
Ty zaś we śnie,

Choć nie wcześniej,

Przyjdź do mnie przez duszę!

ZŁODZIEJ

(opowieść z 1002 nocy)



Noc była ciemna, ponura. W sypialnej sali bursy Seminarjum Męskiego w Chełmie panowała wielka cisza. Uczniowie, chłorcy młodzi, zmęczeni całodziennymi trudami i bardzo miłymi „randkami” spalili snem kamiennym.

Cisza od czasu do czasu tylko przerywana była bardzo skrzypnięciem i bardzo drażniącym gryzieniem szczurów w „sztubackich” kuferkach.

Ale to unisono wcale nie przeszkadzało „miłym chłopakom” w ich śnie młodocianym. Spali prawie wszyscy; jeden tylko kolega, którego óżko stało prawie że przy drzwiach głównych, nie spał jeszcze, myśląc o „idealach” może.

Leżał cicho, wpatrzony w ciemny sufit, upojony nadzwyczajnym spokojem.

Wtem krótkie, niespokojne skrzypnięcie drzwi i czyjeś prędkie a bardzo ostrożne kroki przerwały mu te rozmyślenia tak nagle, że zdumiony i podniecony nieco, otrzeźwiał w jednej chwili, nabierając jakiegś bohaterskiej odwagi.

Wnet pierzchył wszelkie marzenia i myśli młodzieńcze, których miejsce zajęło jedno wielkie słowo „złodziej”, które podnieciło go do szybkiego i mężnego czynu.

Zdarzało się bowiem, że w naszym gmachu, podobni dżentelmeni składali już wizyty, więc nic dziwnego, że można było się naprawdę przerazić.

Zerwał się na równe nogi i począł „trochę okiem a trochę węchem”, jak to mówią Żydzi, nasłuchiwać.

W miarę jak słuchał, włosy jeden po drugim „stawały” prędko „dęba” i równie szybko i z rezygnacją jakąś opadały, mówiąc mu „łapaj!” niespokojne bowiem i ciągle przerywane szmery i jakieś ruchy w pobliskiej sali rekreacyjnej mówiły mu, że tam jest ów „gość”.

Rzucił się więc cicho a szybko do pobliskich łóżek, gdzie spała „strasznie” mocnym snem najstarsza i najmocniejsza „wiara”.

W jednej chwili znalazł się przy najbliższem łóżku i, ciągnąc za ucho śpiącego: „Antek, złodziej, wstawaj!” szeptał w samą jamę uszną

i biegł cicho jak nietoperz dalej. Tak ubiegł już z pięć razy wzdłuż kilkunastu łóżek, ale nikt nie chciał wstawać, nie wiedząc, o co chodzi.

Trudno jest bowiem podnieść na „równe-nogi“ sztubaka bursowego, a jeden tylko dzwonek dźwięczny, dzwoniąc równie głośno na obiad, jak i na „wstawanie“ może go podnieść „momentalnie“, ale przecież, mając złodzieja w swojej własnej sali, nie można mu koło, bardzo wyćwiczonych rąk i uszu zadzwonić przeraźliwie.

Myśli takie, jak prąd elektryczny na bardzo dobrych przewodnikach, nie trwały zbyt długo. Podniecony falą bohaterskiej krwi, rzucił się do pierwszego lepszego łóżka, szepcząc gwałtownie śpiącemu w oczy, w usta i w uszy:

„Wstawaj, psiakrew, łap zło-dzie-ja, który two-je ulubione golfy ma już w kieszeni!“

Na taką straszną wiadomość uczeń zerwał się w „okamgieniu“. W parę sekund później już wszyscy koledzy z V-go kursu stojąc na zupełnie „równych“ nogach widzieli, że ich golfy, przeróżne lakierki, muszki i granatowe ubranie są u złodzieja w kieszeni.

Jeden z najbardziej śmiałych, skoczył nagle do drzwi, przez które przed chwilą wtoczyła się godna figura „złodzieja“, i tak silnie, wprost „elektrycznie“ trzasnął drzwiami, że aż połowa naszych bursaków, zbudzonych jak strzałem armatnim, siedziało na łózkach, trac „piąstkami“ swoje „oczęta“.

Wtem krzyk jednego z najniepokojniej mężnych „Wstawaj! Złodziej w bursiel!“ „Łapać psiakrew!!!“ porwali na równe nogi.

Na takie bohaterskie hasło, już nie tylko wszystko to, co „trzeźwę“ ale i największe „spiochy kątowe“, stało koło swych łóżek i macając po ciemku, szukało jakichś „klonic“, kijów i lasek, zamiast których, jeden drugiego chwycił, namacawszy na głowę, myśląc, że ma pod ręką buławę.

W jednej chwili znalazła się gdzieś w kącie stara i krzywa a bardzo zakopcona lampa „naftowo olejna“, znalazły się i zapalki, i nagle stało się widno „jak w dzień“.

A że światło pozwala zawsze widzieć na dalszą odległość, więc bohaterowie nasi, ujrawszy się w dość wielkiej liczbie, (bo jak na oko mierząc w jakiejś trzydziestce) a dotego, widząc swoje bohaterskie i żądne „krwi rozlewu“ miny, poczęli nabierać fantazji. Bardzo prędko więc i bardzo zgrabnie uformowano się w ten sposób, że koledzy z V-ego kursu utworzyli czoło, za niemi stanął jak jeden mąż „ramię do ramienia“ kurs IVy i III-ci.

Tak z wodzem klanu na czele z kol. Szb, który trzymał wyżej wspomnianą „naftową-olejną“ lampę, czyli tak zw. „gromnicę“, ruszyli

w kierunku sali rekreacyjnej, tworząc jakiś dziwny, fantastyczny pochód „duchów“ z „Tysiąca i jednej nocy“: wszyscy bowiem, będąc w białym, byli biali jak aniołowie, a czerwoni na marsowych twarzach jak „gotowane raki“.

Cała ta mężna drużyna a właściwie część jej znalazła się bardzo prędko na środku sali rekreacyjnej, część bowiem najsilniejszych stanęła „murem“ przy drzwiach głównych, pełniąc honorową wartę i oczekując na defiladę ze „złodziejem“.

Tak ustawiwszy się szybko, uciekli nagle jak na kiwnięcie czarodziejskiej „róźdzki“, tylko głos „prowodyra“, huknął gromko:

„Kto — tu jest!“...

Cisza.

„Kto — tu jest!“ powtórzył jeszcze głośniej. Poczęto nasłuchiwać odpowiedzi. Ale nikt nie odpowiadał.

„Falangi“ więc „macedońskie“, nie doczekawszy się odpowiedzi, podnieciwszy się hasłami bojowymi, jak „szukać!“, „walić!“ i „prać!“ — poczęły to pierwsze — czyli szukać. I oto nastąpiło burzenie Sodomy, Gomory, albo Babilonu przynajmniej. Rzucono się mężnie na poszukiwanie zaginionego gościa — za szafy, w szafy i pod szafy, za piec, w piec i na piec, do szatni, w palta i pod palta, do gabinetu lekarza — dentysty, szukano nawet na ścianach i na suficie i — n-i-e z-n-a-l-e-z-i-o-n-o. Niepowodzenie to nie zniechęciło młodych wojowników, owszem, męstwo ich, żadne krwi i pożogi, podnieciło ich nawet jeszcze silniej.

Poczęto więc formować pochód do drugiej sali bursowej, gdzie spoczywali bardzo spokojnie i błogo koledzy nieco młodzi, a co za tem idzie i nieobdarzeni tak obficie mężnem pulsowaniem czerwonych ciałek krwi. Więc niektórzy z nich, zbudziwszy się nagle i ujrawszy „fantastyczny“ pochód „białej armji“ z drągami od szkolnej sikawki pożarnej, butami i pulpitemi w rękach, poczęli dziwnie się zachowywać.

Bo oto najspokojniej zakrywszy głowy aż 1/4 częścią bursowego koca, poczęli jeszcze głośniej i przeraźliwiej chrapać, zdając się na wolę Bożą.

Opuszczono więc „nieszczęśliwą salę“, tylko nieuspokojeni jeszcze „białoarmiejcy“ obeszlą śmiało korytarze naszego gmachu, opatrzą zamki i klamki do wszystkich klas pokoju nauczycielskiego i kancelarji. I tam nic nie znaleziono. „Zginał jak kamień w wodę“. Powrócono więc na miejsce spoczynku i spokoju, którego już wcale nie było.

Jednak zgodnie z przeznaczeniem nie skończyło się tylko na tem. Wysłano bowiem jeszcze trzech „przedstawicieli kursowych“ na wywiady do tak zw. „hadesu“, t. j. do składu „manufaktury sztabackiej“.

Trzej więc mężni posłowie, cicho, majestatycznie posuwali się z nieodstępną „gromnicą“ hen — na niższe piętra. Obejrżeli więc piwnice, drwalnie, podwórze, no i punkt środkowy — hades.

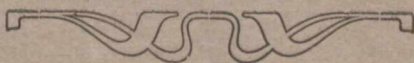
Fatum jednak chciało widocznie, że p. gospodyni bursy szyła sobie spokojnie w kuchni, gdy tymczasem trzej posłowie znajdowali się w pobliżu magazynu bursowego, badając nieco z hałasem całość zamków.

Hasło to jednak strasznie musiało przestraszyć naszą panią. Stało się więc, że p. gospodyni „w nogi“ a posłowie za nią. Po tym to pościgu za niewinną ofiarą przedstawiciele nasi powrócili do sali, pokładając się ze śmiechu.

I dopiero za jaką dobrą godzinę błogi sen powrócił do nas, usypiając niespokojne, rwące się dusze aż do rannego dzwonka.

A co się stało ze złodziejem zapytają się zapewne czytelnicy, bardzo ciekawi końca? Wówczas odpowiemy: „Nie“. Był to bowiem nasz własny (powtarzam własny) kolega z I go kursu, który narobiwszy nam „bałaganu“, narobił sobie strachu i drżał przez całą noc w pełnym rynsztunku pod opiekuńczym kocem, bojąc się „zdrady“, że przyszedł nieco „za późno“.

Zygmunt Tońko



Chełmski

S. K. S. „Zdrów” w Szczepieszynie

(17 maja 1925 r.)

Otrzymaliśmy od S. K. S. „Junak“ w Szczepieszynie zaproszenie na mające się tam odbyć „Igrzyska Sportowe“. Z zaproszenia skorzystaliśmy. Na zawody do Szczepieszyna wyruszyły drużyny piłki nożnej i koszykowej — znaleźli się też i biegacze na przełaj (3.500 mtr.).

Chociaż Sz. Redaktor polecił mi napisać tylko o naszym pobycie w Szczepieszynie, pozwolę sobie rozpocząć ten opis przyjazdem do st. Topólczy.

Zaczynam.

Dojeżdżamy do stacji. Naraz ze zdziwieniem słyszymy, że gra jakaś orkiestra, i to gra jakby marsza powitalnego. Czyżby nas witali? Nie może być! A jednak, wesola rzeczywistość, ten marsz—to na naszą cześć, a grają go nasi gospodarze, koledzy Szczebreszyniacy.—Z wagonów wysypujemy się jak mrówki.

Nasz „prezes“ E. Onuszkiewicz na całą Topólcę wrzeszczy „baczność“, „zbiórka“, a za chwilę, przez „cześć“ witamy spotykających nas kolegów z orkiestrą. Uroczysty wmarsz do Szczebreszyna—miasta. Gospodarze pamiętają o pokarmie dla dusz naszych—wiodą nas prosto do kościoła.

Nabożeństwo, Msza śpiewana. Chór Seminarjalny.

Po mszy znów z orkiestrą maszerujemy do Seminarjum. Tam na boisku w imieniu całej szkoły powitał nas krótkimi słowy kolega Ostaszewski, „radząc“ przytem, abyśmy się tu czuli jak u siebie w domu.

Następuje ogólne witanie się, wzajemne poznawanie się, naprawdę koleżeńska atmosfera. Po śniadaniu zwiedzamy Szczebreszyn (kto chce może odpoczywać).

O 2-giej obiad,—po obiedzie przygotowania do rozrywki w piłce koszykowej.

Punktualnie (!) o godz. 3.12 zagrywka, gra od początku w bardzo żywym tempie. Piłka przechodzi od kosza do kosza, rezultatem w trzeciej minucie „Junak“ wbija kosz drużynie „Zdrów“.

„Zdrów“, gwałtem chce się zrewanżować, atakuje zaciekle na kosz „Junaka“. Dużo karnych, jeszcze więcej kornerów. Przed samą przerwą odgwiszaniem psuje sędzia doskonały atak drużyny „Zdrów“.

Przerwa Zmiana koszu. W trzeciej minucie po przerwie „Zdrów“ z karnego wbija piłkę do kosza „Junaka“. W trzy-nastej i szesnastej minucie następują też po sobie doskonałe strzały na korzyść „Zdrów“.

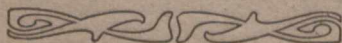
Za minutę, „Junak“ rewanżuje się jednym strzałem.

Pod koniec gry „Junak“, wbija z karnego kosz drużynie „Zdrów“. Gwizdek. Ostateczny wynik : 5 : 5.

Stosunek rogów 9:1 (6:1) na korzyść „Zdrów“.

Sędziował p. prof. Maż.

d. n.



Ukazał się pierwszy Nr. tegoroczny „Nauki i Szkoły“ kwartalnika Towarzystwa Akc. „Uranja“, poświęconego urządzeniom szkolnym i naukowym pod redakcją Aleksandra Patkowskiego w języku polskim i francuskim. Nr. pomieniony w dziale polskim zamieszcza artykuły: Stanisława Arnolda: Polska Piastowska. Objaśnienia do mapy historycznej. Jerzy Smolenski: Pomoce naukowe do geografji.

Wacław Jezierski: Zenitarjum. Kazimierz Czerwinski: Pierwszy mikroskop polski. Aleksander Janowski: obrazy ziem polskich.

W kronice podane zostały szczegółowe informacje o udziale polski w Wystawie Dydaktycznej we Florencji w marcu i kwietniu r. b.,

o zjazdach naukowych i in., w przeglądzie wydawnictw szczegółowe informacje o produkcji kartograficznej „Uranji“, w dziedzinie map historycznych Polski, wiadomości o wydanych obrazach i tablicach ściennych i in.

Dział francuski wydany również oddzielnie dla celów propagandowych prócz artykułów tłumaczonych działu polskiego zamieszcza:

A. P.: O produkcji polskiej pomocy naukowych i urządzeń szkolnych, w dziale kroniki podaje streszczenia francuskie artykułów drukowanych w poprzednich N-rach „Nauki i Szkoły“ informacje o przewodniku po dziale polskim Wystawy Dydaktycznej we Florencji oraz wiadomości o wydawnictwach graficznych i kartograficznych „Uranja“ dla celów szkolnych.

Śród szeregu ilustracyj znajdujemy zdjęcia z Wystawy we Florencji oraz wnętrze sceny komedji Stefana Żeromskiego „Uciekła mi przepióreczka“ urządzone przez Tow. „Uranja“.

Prenumerata kwartalna 1,20

Cena pojedynczego numeru 40 groszy.

Redaktor: Anatoljusz Lisowski.

Administrator: Stanisław Krawczenko.

Redaktor odpowiedzialny: naucz. K. A. Jaworski.



